NUMER 21. DNIA 22. MAJA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

HENRYK STANLEY.

Kiedy przyszły historyk będzie szukał przyczynków do psychologji naszych czasów, napewno przeczyta z ciekawością i zanotuje sobie następną charakterystykę Stanley'a, tego Pizzara XIX. wieku: „Na najświetniejszą kartę naukowego podróżnictwa współczesnego padła smuga żałobna. Henryk Stanley, odkrywca Afryki wewnętrznej, który podarował cywilizacji olbrzymie obszary nieznanego przedtem nikomu świata, umarł“.

Nie wiem, na jakiej zasadzie imię tego ciemnego, zuchwałego awanturnika, gwałtem wtłaczane jest w szeregi A. Humboldta, Livingstona, Reclus, Nordenskjölda, Nansena i tylu innych, istotnie jasnych i sławnych imion. Przecież ten człowiek nic nie odkrył i nic nie dał ludzkości, gdyż przejście ogniem i mieczem przez krainy, które już zaczęły wchodzić w zakres badań naukowych, powstrzymało jedynie ich dalsze poznanie. Henryk Stanley zaszkodził ludzkości przez wzbudzenie nienawiści rasowych, zaszkodził ludzkości przez powtórzenie okropnych scen zawojowania Ameryki... zaszkodził nareszcie ludzkości przez wzbudzenie w Europejczykach dzikich instynktów, uczczonych w jego osobie... Stanley, którego imieniem murzynki straszą swe dzieci, nieuk i kłamca, którego opisów wstydzi się cytować i nie ufa im żaden poważny uczony, zabójca setek niewinnych ludzi dla celów samolubnych, dla własnej karjery, gdyż gubił ich, niby to ratując Livingstona i Emina Paszę, gdy tymczasem obu żadne nie groziło niebezpieczeństwo i zaczęło się ono dopiero po przybyciu nieproszonego obrońcy — człowiek, któremu podanie ręki w swoim czasie zakwestjonował jeden z wybitnych i szlachetnych Anglików — taki człowiek stawiany jest na świeczniku ludzkości i żałują jego śmierci, gdy tymczasem należałoby powiedzieć: szkoda, że się urodził. Protestuję przeciwko czci Stanley'ów! Miejsce im na haniebnej liście ludzkości!

Wacław Sieroszewski.

Budujcie, budujcie gmach!

Młodym poświęcam.

Budujcie, budujcie gmach!...
Wkoło was zgliszcza, ruiny,
A z ruin wyłania się siny,
Na wpół odarty już z ciała
Budowniczego trup!
Tego, co stawiał zamczyska,
Tego, co wznosił wieżyce,
Wysokie, górne, strzeliste!
Ślad wieżyc tylko połyska,
I ruin rzesza bezmierna!

Budujcie, budujcie gmach!...

...Legnął ten budowniczy,
Dusza mu z ciała uciekła,
Ciało mu z kości opada!
Słaba powłoka, blada,

Gdy dusza z ciała uciekła,
A wielki, być może, duch!

Budujcie, budujcie gmach!
Strojcie go w pióra, sztandary,
Skrzydłami strojcie go swemi!
Z marzeń i z ziemi
Zbierajcie wszelkie dostatki:
Moce, i siły, i kwiatki,
Co więdną ku dniowi drogiemu...
Zbierajcie, zbierzcie tak wiele,
By wykwitnęło na czele
Waszego gmachu świętego,
Błyskaniem w niebo przejasnem,
Obłędnym świtem jarzącym!
By zapaliło się słońcem,
By słońcem samo się stało!

Budujcie, budujcie gmach!
Budujcie śmiało!

Trupy, co wkoło nas leżą
Pokotem, leśną rubieżą,
Wznosiły gmachu podstawy!
Dziś widok łzawy!
Hej, trupi ślad ich istnienia
Niech oczu wam nie zacienia!
Niech myśli wam nie narusza!

Znikła ich dusza,
Znikła, co kiedyś w nich żyła!..

Budujcie, budujcie gmach!
Natężcie siły wasze ogromne,
Woli waszej dajcie upusty,
Wy, budowniczowie żyjący!

Budujcie, budujcie gmach!
Pókiście przy budowaniu,
Nie zmoże was strach!
Pókiście wy przy robocie,
Nie pożre wczorajszy dzień!
Pókiście w trudzie i pocie
Nie przyjdzie zwątpienia cień!

...A kiedy przyjdzie...
...Ach! Wy, młodzi!
Budujcie, budujcie gmach,
Wy, młodzi!
Krótkie lata...
Krótkie wasze lata!
...A wiek chłodzi,
Zwątpienie w myśli się wplata,
Zwątpienie w serce przychodzi.

...Ach wy, młodzi!
Budujcie, budujcie gmach!
U tęczy barw,
U słońca bierzcie promieni,
Z wulkanów żar,
Niech topi kruszce twarde.
Czar bierzcie, czar!
Gdzie tylko widny czar!
Ułudzie otwórzcie oczy,
Ułudzie, co prędko mija!
Dziś schodzi ku wam z przezroczy,
Niech się nią wzrok upija,
Niechaj ją całą bierze!
Szerzej, szerzej,
Otwórzcie na nią źrenice.
Nic, że błyskawice
Mknąć chcą przed wami gdzieś wdal,
Że szelest fal
Przebrzmiewać chce!
Ułudę bierzcie, czar,
Trwający chwilę jedyną
I rozciągajcie ją wielką
Oponą ponad krainą!

Budujcie, budujcie gmach!
Ze wzniosłych marzeń,
Niebosiężnych szczytów,
Górnych błękitów!
Choć pod błękitami
Pogrzebione spoczywają nadzieje!
Choć ciemności po słońcu nastają,
Choć inni w ciemni stąpają
— Mówcie, że dnieje!

Mówcie, że świty niesiecie.
Budujcie, budujcie gmach!
Najwyższy gmach z nadzieji i wiar
Budujcie gmach!
A choć to złuda i czar —
Budujcie gmach!

Budujcie, budujcie gmach!
Niech wyżny jego szczyt,
Wbija się w górne mgły,
Co jako rzęsne łzy,
Zakryły słońca świt,
Ściemniły światła brzask!

Budujcie, budujcie gmach!
A weźcie w swoje ręce
Bolesne serca w męce,
Wasze serca weźcie własne.
Jako kryształy przeźrocze,

Wasze serca świecą, jasne,
I zatrzymują blask,
I rozświetlają oczy,
Jak glorją błogosławioną,
Zdobytą w pośród łask
Modłów żarzących się wiarą!

Krwi waszej weźcie rubiny,
Serdecznej waszej posoki
I lejcie ją na opoki,
Które nieść macie w wyżyny,
Które nad siebie wznosicie!

Przemija życie!
I zapomnienia mknie fala,
A to, co dzisiaj nam zbliża,
— Jutro oddala...

Budujcie, budujcie gmach!
Wam, szczyt ten jego jest żywy,
Wiecznie trwający, prawdziwy,
Dajecie mu z serca krew!
...Przeminie, wszystko przeminie,
W czasu utonie głębinie,
W czasu się ciemni oddali...
Ale wasz siew
Innym zabłyśnie na fali,
Na fali życia innego,
Budowniczowie młodzi!
I w świętych łzach,
Ten inny duch wyswobodzi
Zaklęty przez was śpiew
I dalej rzuci siew!
Budujcie, budujcie gmach!

MARCELINA KULIKOWSKA.

Kraków. W maju.

MARJA JARMUND. 6)

Nasze ideały w XIX. wieku.

Jaki jest właściwy cel ludzkości na ziemi, nie udało się jej jeszcze odgadnąć, bo pomimo zaprzeczeń, celowość może bezwiedna i tylko instynktowa, ale istnieje z pewnością. Kilkotysięcznoletnie dzieje ludzkości stwierdziły ją zupełnie. Być może, iż jednem z głównych zadań człowieka na ziemi będzie poprawienie tego, co z niewytłómaczonych dla nas powodów pozostało złem, niesprawiedliwem i okrutnem w przyrodzie, jak naprzykład potrzeba tępienia istot żyjących dla utrzymania życia własnego. Jeżeli chemja dojdzie do odtwarzania mięsnego pożywienia, o czem nie można wątpić, to ludzkość poprawi i uduchowi przyrodę, uwalniając ją za pomocą wiedzy, od najwstrętniejszego z rządzących nią praw, a gdyby oprócz tego nic już więcej nie zdołała wykonać, to i tak byłby dostatecznie usprawiedliwiony jej pobyt na świecie. Zadanie sztuki nie mniej jest ważne. W niej, jak w czarodziejskiem zwierciedle, nietylko wszystkie zmiany, zachodzące w świecie realnym i w świecie ducha, z całą prawdą się odbijają, lecz zebrane w jeden snop światła, tworzą z nich syntezę, która się ideałem nazywa. Przez nią, jak przez pryzmat przepuszczone promienie, kaskadami tęczowych blasków olśniewają oczy zachwyconych tłumów. Nie warto byłoby żyć na świecie, gdyby sztuki nie było, gdyby ona nam nie złociła szarych i smutnych dni, gdyby przestała być mistrzynią a zarazem rozkoszą i radością życia. Ale na to, aby jej działanie mogło zachować posiadany dotychczas wpływ, nie powinna się ona odwracać od rzeczywistości, i otulona w mgły mistyczne, unosić wyłącznie po nad ziemię. Sztuka wielka, prawdziwa sztuka wszechświat cały ogartuje. A niema pewnie jednego zakątka ziemi na świecie, gdzieby wielki, prawdziwy artysta znalazł więcej głębokich i subtelnych, niż u nas zagadnień, których strona mistyczna ani zbadaną ani zużytkowaną nie została. Co za tajemniczy wpływ wywiera na wszystkie prawe umysły wyraz — ojczyzna. W chwilach napięcia, wstrząsa on jak huragan sercami ludzi, którym użycza nadprzyrodzonej potęgi, stwarza z nich bohaterów, półbogów. Co za uczucie zmusza cichych, nie szukających sławy prostaczków, do zadziwiających czynów odwagi i poświęcenia, jakie niegdyś było udziałem tylko męczenników za wiarę, co ich popycha i zmusza może b e z w i e d n i e, może w b r e w w ł a s n e j w o l i do znoszenia prześladowań, udręczeń, knutów moskiewskich, kopalń syberyjskich, albo śmierci na szubienicach? Tajemnica! Któż uchylić zdoła rąbek zakrywającej ją mistycznej zasłony? Chyba genjusz... Ludzie ci mogliby żyć spokojnie, szczęśliwie, poddając się biernie okolicznościom, przyjmując cierpliwie spełnione fakty i nie zrywając się do nierównej walki z przemocą. Jakież zatem więzy trzymają skrę-

powaną ich duszę, co za instynkt popycha do działania na własną zgubę? Oto zagadnienie, sięgające do głębszych otchłani „nieznanego“, niż zagadnienia na tle miłości zmysłowej, przez modernistycznych autorów bezustannie roztrząsane. Musi tu działać ta sama, lecz spotęgowana siła, która popychała „Księżniczkę Malenę“ Maeterlincka, niepowstrzymanie na drogę, wiodącą do cierpienia i męczeństwa. A zatem i w tych „głupich przypadłościach życia“ mieszczą się objawy mistyczne o bezdennych głębiach, tylko nie każdy umie się na nich poznać.

Sztuce nie wolno odwracać się od życia, zatykać uszów i zamykać oczów na pragnienia i porywy społeczeństwa, z którego łona wyszła, inaczej to społeczeństwo pozostawi ją na uboczu i samo pójdzie dalej swoją własną drogą, nie oglądając się na nią. Tem bardziej zaś nie powinna ona, która jest nektarem i ambrozją życia, zamieniać się w czarę zabójczej trucizny, bo wyrwać się wtedy może okrzyk bolu z miljonowych piersi : nie chcemy was znać, gdyż „źle się bawicie, dla was to jest igraszką, nam idzie o życie“.

Wprawdzie, że tam któryś artysta nie odczuje cierpień i rozpaczy, szarpiących sercami miljonów, to mała strata, tem gorzej dla niego, nie będziemy mu stawiali pomników, jak Mickiewiczowi w Warszawie, ani całowali przed nimi marmurowych stopni ze łzami w oczach i na tem koniec. Cała sztuka jednak nie pójdzie za tym przykładem, zamiast podnosić i umacniać, nie będzie godzić w najboleśniejsze struny naszego serca i grozić nam zagładą. A gdyby się okazało przeciwnie, gdyby nas miała opuścić i ten promień światła, do którego wyciągamy dłonie zagasić, to niech raczej ginie i przepada, bo ocalenie życia ważniejsze jeszcze, niż ona.

Nie traćmy wszakże nadziei, że do tej ostateczności nie przyjdzie. Wyspiański, nie przestając być modernistą, pokazał, co wydobyć można z uczuciowych dramatów narodu i nie może się skarżyć na obojętność tłumów, które się odrazu poznały, że jest wielkim artystą i potrafiły mu bez długich namysłów, pierwsze miejsce w Panteonie dzisiejszych poetów oznaczyć. Może też jego przykład innych zdoła za sobą pociągnąć.

Można poczytać za prawdziwe szczęście i za wielką na przyszłość otuchę, że najmłodsi nasi poeci zwrócili się do Słowackiego i uznali go za wzór godny naśladowania. W nim istotnie znajdą wszystko, czego tylko nowoczesna twórczość zapragnąć może i co stanowi cechę dzisiejszej sztuki, zacząwszy od nadludzkiej postaci Króla-Ducha, skończywszy na mistycyzmie, połączonym z wiarą w pielgrzymkę duszy, odradzającej się i powracającej w coraz nowych postaciach na ziemię, jakkolwiek wiara ta w odmiennej formie pojęta i na innej, niż dzisiejsze, oparta była hipotezie. Wszystko zaś owiane takim zapałem, taką miłością i takim żarem dla nieszczęśliwej sprawy ojczystej, jaki w sercu namiętnie kochającego syna płonie dla pokrzywdzonych, cierpiących rodziców. Kto w łonie swojem tak wielkiej miłości nie zdoła rozniecić, ten napróżno kusić się będzie o zajęcie w narodzie dominującego stanowiska.

Ciągle powiadam, że kraj się już pali
I na świadectwo rzucam ognia zdroje
A to się pali tylko serce moje!

Niechże z tych zdrojów ognia choć jedna iskierka zapłonie w sercach naszych modernistów, a naród ich wielbić będzie, jak dziś wielbi ich mistrza.

Hipoteza wędrówki dusz, czyli metempsychoza stanowiła podstawę wiary i filozofji najstarszej z ludzkich cywilizacji. Rozwinęła się u Indusów. Wedle nich dusza za przestępstwa, popełnione w zaświatach, skazana zostaje na przybranie ziemskiej powłoki, w której ma odbywać pokutę. Odtąd jedynem jej dążeniem będzie powrót na łono bóstwa, zkąd została oderwaną, to jest złączenie się z boską duszą wszechświata. Dojść zaś może do tego celu przez życie, oddane cnotom, umartwieniom, bogobojnej kontemplacji, pogardzie ciała, jak i wszelkich zmysłowych rozkoszy. Dusze, które nie przestrzegają tych przepisów, w coraz większe błędy i grzechy wpadając, po śmierci zmuszone są do rozpoczęcia nowej po świecie wędrówki, zaczynając od najniższych kształtów, aż oczyszczone w końcu z wszystkich skaz, połączą się z pierwotną istnością, z której wyszły, czyli utoną w nirwanie. Pojęcia te mistyczne, nie dające się jednak niczem rzeczywistem uzasadnić, nie przyjęły się u ludów, realniej i trzeźwiej na świat patrzących. Powracały jednak często, w rozmaitych czasach i formach, aż je Towiański za podstawę swej nauki przyjął, a za jego pośrednictwem dopiero zapuściły głębokie korzenie w umyśle Słowackiego.

JAN ŚWIERK. 21)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Trzymałam się dość długo z siłą wytrwałą, wobec tych wszystkich scen, ale gdy na to wszystko przyszedł wuj około południa i począł krzyczeć brutalnie, że ciocia udaje chorą, komedję odgrywa, że go chce tem rozczulić i t. d. już nie miałam mocy nad sobą, uciekłam, ani wiedząc gdzie idę, ani myśląc o tem, co robię.

Weszłam do pokoju, rzuciłam się na krzesło i poczęłam płakać coraz rzewniej i coraz silniej.

Wtem czuję, ktoś mię dotyka lekko, ktoś mię przygarnia ku sobie...

Nie wiem kto — nie słyszę czyli co do mnie mówi, tylko płaczę, jak najnieszczęśliwsze dziecko i powtarzam raz po raz: — Boże mój! Boże mój...

— Jadwiniu! co ci jest?

To Stach nademną pochylony, to on przygarnął mię jak dziecko w ramiona i tuli do siebie...

Zerwałam się w oka mgnieniu...

— Co robisz, kuzynie? Jak możesz?

— Zastałem cię w moim pokoju spłakaną, serce we mnie rozgorzało, Jadwiniu!...

— Ani wiedziałam o tem, iż weszłam do twego pokoju, szłam, jak błędna, uciekłam od tamtego piekła... a tyś — ty...

Wybuchnęłam płaczem na nowo.

— Cóżem złego zrobił? czemu tak na mnie patrzysz ze wzgardą?

— Tyś nie umiał uszanować bolu mego, postąpiłeś licho... dlatego iżeś widział mię w smutku, osłabłą, skorzystałeś?

— Wszak jam nie obcy, znamy się...

— Ale do uścisków i pocałunków prawa nie masz... Myślałam, żeś szlachetny...

Wyszłam zalana łzami.

Po miesiącu dopiero mogę pisać.

Tyle nocy, przesiedzianych przy chorej, tyle scen, widzianych w pracowni, w salonie mód, tyle walki o zdobycie groszy kilku na najniezbędniejsze potrzeby!...

Dni stają się latami, tygodnie zmieniają się w dziesiątki lat.

Jakże srodze zbudziło mię życie w mieście!... Na pozór, zewnątrz, zdaje się ono pełne estetyki, wiedzy, postępu... a za kulisami stoją głodni, odarci, nikczemni i bardzo nieszczęśliwi!...

Już wiem wiele. Wuj zbił ciotkę tak, iż odchorowała to śmiertelnie — lecz na to nie ma żadnego kodeksu, dochodzenia, kary należnej. Ciocia z łóżka się dźwiga, a przed nią staje ruina zupełna. Dwa razy byli z sądu i zajmowali „ruchomości“. Zajęte są meble z salonu, suknie z szaf, liche naczynie kuchenne.

Żydzi od rana do nocy stoją z rachunkami i grożą skargami.

Ja piszę i posyłam rachunki do pań, lecz wszędzie te same odpowiedzi:

— Po świętach! W maju!... Po pierwszym!...

Jeszcze bardzo dobrze, gdzie choć tyle nadziei zrobią, ale są inne zdarzenia.

— Pani X... wyjechała — nikt nie wie gdzie, a pani ta winna cioci 108 zł...

— Pani Y. jest teraz w Abazji, wróci może na jesień.

Ta dama winna cioci 90 kilka zł...

— Pan mecenas ⁂ zostawił długów na 300.000 i uciekł, żona bez centa została z dziećmi...

Żona pana mecenasa winna cioci 78 zł...

W takich warunkach ma też biedna rekonwalescentka przyjść do siebie, ma odżywiać się dobrze i wypoczywać, a wreszcie na wieś wyjechać..

Pisałam do ojczulka, błagając go na wszystko, aby zaciągnął gdzie choćby u żydów pożyczkę najmniej 100 zł., ja obowiązuję się spłacić sama i procenta opłacać, bylebym tej biednej cioci pomogła, bo jej tu nikt nie pożyczy, nie pomoże.

Stach i Jerzy, blizcy krewni wuja, niby niezłe chłopaki, ale wszystko to bez centa. Jak na pierwszego pensję pobierą, dziesiątego centa nie mają, a od 20. na kredyt żyją.

Początkowo myślałam, że Stach lepszy i stateczniejszy, ale i jego miasto tak samo porwało, jak i innych...

Obrażona jestem na niego i nawet nie lubię o nim wspominać.

Mam teraz pracę nadmierną. W seminarjum opuściłam prawie cały miesiąc. Dobra Kasia pomaga mi w uczeniu się. Wygląda wprawdzie, jak cień tylko, na gardło ciągle choruje, pości strasznie, ale jakoś przy tem wszystkiem duchem silniejsza, niż ja. Na mnie warunki obecne i otoczenie przygnębiająco podziałały.

Wracam ze szkoły, a ciocia już przy szyciu.

— Chryste Jezu! co ciocia robi, wszakże to zabójstwo, czyż można się dobijać?...

— Powoli, ja sobie powoli będę szyła, — widzisz, kostjum jest nowy, ona zapłaci zaraz, ja ją znam...

I tak wymownie patrzy ciocia na mnie i tak błaga prawie o to, abym jej nie zabraniała pracować, iż trzymaną w ręku robotę oddaję jej i odchodzę, jakby zawstydzona.

— Czegoż chcę?... Pragnę ratować ją przez odsunięcie zarobku? Cóż dam na jej życie, na życie dzieci biednych?

Ciocia zauważyła, iż siedzę zadumana, więc pyta:

— Może gniewasz się na mnie za mój upór?

— Gdzieżbym się gniewała? Smucę się tylko, iż nic poradzić nie umiem...

— Nie tak łatwo. Jest nas tyle krawczyń w mieście, a nie umiemy sobie poradzić — taka dola jakaś kamienna...

— Bo powinno być zorganizowane stowarzyszenie, wzajemna pomoc, jak jedna chora, aby inne pomagały, jakiś fundusz na starość...

— Może być, iż gdyby kto przyszedł, poradził, obmyślił, dałoby się zrobić, ale my nie mamy na to czasu, a do nas nikt nie przychodzi.

Ojczulek z wielkim trudem zdobyte pieniądze przysłał, jest ich ledwie 50 zł. To nic nie znaczy!...

Przyszło mi na myśl, gdyby Stach w gazecie swojej ogłosił, iż chora krawcowa potrzebuje dla poratowania zdrowia pobytu na świeżem powietrzu, możeby kto za małą pracę ofiarował jej mieszkanie i wikt.

Poszłam mówić z nim o tem.

— Napiszę, odrzekł na to... ale wątpię, czy chorą zechcą panie do domu, będą się bały...

— Może być, iż i tak się stanie. Zresztą cóż to za spoczynek przy maszynie i szyciu?...

— Gdyby jej zapłacono to, co jej winni, mogłaby wyjechać spokojnie.

— Ale właśnie idzie o to jedno słowo — gdyby.

Panna Olga nie umie nic. Kompletnie nic. Najważniejsze wypadki, z dziejów narodu są jej nieznane. Z zadań polskich miewa złe noty, bo ortografja, jak u samouka...

Ale za to gdy słyszę ją rozmawiającą przy gościach, to zdaje się osobą głębokiej wiedzy.

Kiedy ja nie umiem prawie kilku zdań wypowiedzieć, ona trzepie się i gadą, gada płynnie, szybko i z humorem.

Jakaż jest różnica między nami?

Ona ma otarcie i obycie salonowe, a ja, dziczka wiejska, która jeszcze nigdy nie była na raucie, powieści mało bardzo czytała i o niczem rozmawiać nie potrafi.

Co przecież muszę przyznać szczerze, ona nie jest zła. Kilka razy przekonałam się, iż serce w niej budzi się, jeśli tylko iskierkę się przyłoży.

Wczoraj wieczorem, po lekcji, gdy już zbierałam się do wyjścia, ona prosi mię:

— Niech pani jeszcze zostanie chwilę, lubię z panią rozmawiać.

— Jeśli sprawię tem przyjemność, zostanę, bo i tak zwykle szarą godziną spoczywam, rozmyślając w zadumie.

— I o czem pani myśli?... o miłości?... o kochaniu?

— Tak jest, kocham lud, wieś, przyrodę, pragnę, aby wszyscy umieli oceniać zalety ludu, a nad wytępieniem wad pomagali wspólnie pracować.

— Ale ja nie o tem myślałam, pytałam czy pani marzy o miłości swojej, o zamęzciu?

Uśmiechnęłam się na to.

— Nie kocham się jeszcze, więc nie marzę o weselu. Po cóż śnić o tem, co albo bardzo dalekie, albo wcale nie stanie się.

— Tak pani tylko mówi, nie wierzę, aby tak było. Ja i moje koleżanki jeszcze byłyśmy w krótkich sukienkach, chodziłyśmy do drugiej wydziałowej, gdyśmy się już kochały, listy pisywały do studentów i oni do nas, — gdyśmy już szeptały sobie ciągle o tem, jak to będzie, gdy wyjdziemy za mąż, jakie stroje będą, szlafroki z ogonami, klejnoty cudne, mieszkanie wspaniałe...

Olga o tem mówiąc, promienieje cała. Tak widać marzenie samo działa, jak szczęście zupełne.

— Ja — odpowiadam jej poważnie, — inaczej żyłam. U nas na wsi dzieci są bardzo długo dziećmi, a mnie rodzice ciągle do pracy wiedli i ją, jako szczęście przedstawiali.

— I pani się jeszcze ani razu nie kochała?

— Jakto, ani razu? Alboż można się kochać więcej razy?...

— O!... i ile!... Ja kochałam się ośm razy, a teraz dziewiąty raz...

Wydała mi się ta rozmowa nudną, więc poczęłam znów wkładać rękawiczki.

— Czemu pani odchodzi?...

— Jeśli pani chce, bym została, to dobrze, ale zmienimy treść rozmowy.

Usiadłyśmy przy oknie.

Szary koloryt mroku upowinął cały pokój w swój płaszcz mglisto-przejrzysty, tylko przez okno wciskało się jeszcze kilka ostatnich blasków zachodzącego słońca.

Z ciemnych i długich opon, wiszących u okien, tworzyły się ramy, odgraniczające mrok od blasku zachodu... Wokoło była cisza, tylko gdzieś z trzeciego pokoju dolatywało echo rozmowy.

Olga przytuliła się do mnie serdecznie, oparła głowę o moje ramię, a ręką objęła mię w pół...

— Dziś właśnie nasz profesor psychologji przytoczył nam zdanie pani Tańskiej, nad którem długo się rozwodził. Twierdzi ono, iż „kobieta nie wykona wielkiego czynu, ale go pojmie i zrozumie“ — jakże pani odpowie, tak czy nie?...

Olga milczy...

Po długiej chwili powiedziała mi...

— A co się nazywa wielkim czynem u kobiety?...

— Wybornie postawiona kwestja, właśnie o to idzie, aby najpierw miarę owej wielkości czynu mieć przed sobą, bo słowo „wielki“ rozmaicie da się tłumaczyć i jest nieraz zbyt ściągliwe lub rozciągliwe.

— Jeśli wielkiemi czynami nazywają się głośne wynalazki, sławne odkrycia, walki bohaterskie, to pewnie, że ich kobieta nie wykonuje, ale...

— Czemuż pani nie kończy?

— Bo lękam się, czy nie powiem coś niedorzecznego, nigdy w tym guście rozmowy nie prowadziłam, nigdy nie pytano mię o zdanie tak poważne.

— Więc widzi pani, iż chowają kobiety najczęściej jako lalki, kwiaty, papużki, a potem mówią: — nie zdolne do wielkich czynów.

— Lecz czy to celem naszym, abyśmy wykonywały wielkie rzeczy?

Tak mi się myśl tej dziewczyny wydała serdecznie poczciwa, naturalna i szczera, iż uściskałam ją serdecznie, ucałowałam, jak matka czuła, a potem rzekłam:

— Mówmy sobie „ty!“...

— O! dobrze!... z całą radością...

— A po lekcji dla szkoły, gawędźmy sobie tak nieraz...

— Będę rozważała nad dzisiejszemi myślami, a jutro pani zdam sprawę.

Kilka wieczorów przeszło mi z Olgą, jak w marzeniu sennem. Po lekcji poczynałyśmy rozmawiać o ważnych kwestjach.

Dziewczyna jest zdolna, tylko jej nie dali żyć myślą — wszystkich sposobów używali na to, aby w niej duszę uspić.

Cieszyłam się z odkrycia i o ile przedtem Olgi nie lubiłam, teraz zaczęłam ją lubić...

Aż jakoś w tydzień potem, przychodzi matka Olgi, wystrojona w wspaniałym szlafroku, ubranym koronkami i wstęgami...

— Czy pani chce z Olgi zrobić literatkę?

— Ani mi to przez myśl nie przeszło, nawet choćbym chciała, nie potrafię, bo nie mam ku temu zdolności.

— Coś pani z nią radzi, coś jej szepce, a jej się w głowie mąci. Wczoraj nie miała zwykłego humoru przy gościach, siedziała nasępiona. Do czego to? Ogadają mi córkę, powiedzą, że uczona, sensatka, że „emancypantka“...

— Olga sama poczyna się budzić do życia głębszego, przy większej nauce myśli się rodzą, ale złego w tem nic niema.

— Jednak bym panią prosiła o ścisłą tylko naukę, tylko lekcję, — to wystarczy.

Wróciwszy tego dnia do domu, opowiadam cioci o zdarzeniu i radzę się, co mam dalej robić, uczyć Olgę, czy nie.

— Bo moja ciociu, to przecież była niegrzeczność w najwyższym stopniu, ażeby wymówić sobie tylko lekcję stanowczo, a po za tem nic nie wolno, ani słowa. Czemuż te panie tak się boją myślenia?...

— Czy nie wiesz, iż „mądre“ za mąż nie wychodzą? Ileż to zostało „starych panien“ dlatego tylko, iż były mądre a biedne, gdy panowie szukają bogatych i...

— Niech ciocia nie kończy — domyślam się, jednak to niedotyczy mej sprawy. Mnie o to idzie, czy uczyć Olgę dalej, czy nie?

— Uczyć tak, jak matka chce, powiada ciocia, jej tam z myśli wielkich nie wiele przyjdzie, za pół roku wyjdzie za mąż.

— Więc wtedy na nic myśli, rozwaga, praca ducha, rozszerzanie pojęć o obowiązkach?

— Ot!... na nic.

Chciałabym powiedzieć cioci, iż może więcej sił ducha samodzielnego a mniej bierności i kieratowych obrotów, ale komuż to mówić?...

Cień prawie kobiety i ten cień jeszcze schylony nad maszyną...

Oczy zapadłe w głąb, a jeszcze szukają ściegu wśród szewiotu ciemnego, palce przejrzyste z bezkrwistości, a jeszcze szyją i pracują...

Ciocia mnie nie może zrozumieć, matka Olgi nie zrozumie jej także. Jedna w machinie pracy, druga w kieracie próżności, strojów i próżniactwa.

Ale co począć z lekcjami Olgi?

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Słownik geograficzny.* Po dwudziestu czterech latach olbrzymie to dzieło, dające w 15 dużych tomach całkowity wykaz wszystkich polskich miejscowości, wraz ze statystycznemi i historycznemi datami do każdej z osobna, dobiegło do końca. Właśnie tymi dniami opuścił prasy drukarskie 185 zeszyt wydawnictwa, stanowiący dokończenie piętnastego i ostatniego tomu, a redakcja zamyka rachunek swej pracy następującymi słowy: „Zrobiliśmy, co przy skromnych siłach i środkach było możliwe“.

Naprawdę jednak zrobiła redakcja więcej, niż według ludzkich obliczeń było u nas możliwe, bo stworzenie dzieła w całem tego słowa znaczeniu monumentalnego, zbiorową pracą i w przeciągu tak długiego czasu, jak okres dwudziestoczteroletni, przechodzi zwykłą miarę przysłowiowej polskiej wytrwałości i koordynacji osobistych ambicji dla jednego celu.

Ma wydawnictwo „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich“, jak wogóle każde dzieło zbiorowej pracy historją swoją, której nazwiska przynajmniej podaćby należało do publicznej wiadomości.

Potrzeba „Słownika geograficznego“, który by objął całokształt naszych miejscowości pod względem historycznym i statystycznym, nie pomijając nawet najdrobniejszych przysiołków, jest chyba za nadto piekąca, aby ją jeszcze rozwijać potrzeba. Myśl zaś sama datuje się jeszcze z tej epoki umysłowości naszej, kiedy to skutkiem reakcji politycznej i zastoju z konieczności trzeba było zwrócić swe oczy w stronę przeszłości i szukać tam pociechy i pola do pracy. Wywołało to z jednej strony apoteozę szlachetczyzny, ze strony zaś drugiej zapoczątkowało badania nad wewnętrznym ustrojem Polski, szczegółami jej życia i pamiątkami. Był to okres, w którym powstawały, przeważnie kosztem prywatnym, wspaniałe wydawnictwa, albumy, jak np. „Wzory sztuki średniowiecznej“ lub takie jak Raczyńskiego „Gabinet medali polskich“. W tym samym czasie pisał też Gołębiowski swoje „Domy i dwory“, Moraczewski „Starożytności polskie“, Baliński i Lipiński „Starożytną Polskę“ i t. d. Ostatnie to dzieło stanowi niejako pierwowzór dla „Słownika geograficznego“ z tą tylko różnicą, że obejmuje ono tylko ważniejsze miejscowości, podczas gdy „Słownik geograficzny“ stać się miał kompletnym wykazem wszystkich miast, miasteczek, wsi i przysiółków, które leżą na obszarze dawnych ziem polskich.

Wydawnictwo „Słownika geograficznego“ rozpoczęło się w r. 1880 pod redakcją Bronisława Chlebowskiego, a nakładem śp. Władysława Walewskiego, zakroiło się od razu na podstawie planu Filipa Sulimierskiego na bardzo szeroką skalę, tak że nawet na uporządkowanie, nadsyłanego przez spory zastęp współpracowników materjału nie wystarczały siły jednostki. To też od połowy VI. tomu współudział w redakcji przyjął Józef Krzywicki. Ale i pieniędzy nie starczyło na tak olbrzymie i kosztowne wydawnictwo, więc od dziesiątego tomu począwszy przyjęła je na swój koszt warszawska „Kasa pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem im. dra Mianowskiego“.

Gdy już wydawnictwo miało się ku końcowi z tomem czternastym, okazało się wiele braków i niedokładności, a i sam materjał w poprzednich tomach nagromadzony wymagał sprostowania według wyniku najnowszych badań. Postanowiono więc wydać dodatkowy tom XV., który rozpadł się na dwie części i właśnie obecnie został dokończony.

„Słownik geograficzny“ jest, jak już wyżej wspomnieliśmy, dziełem w całem tego słowa znaczeniu pomnikowem. Nie idzie jednak za tem, ażeby tam już nic dodać, ani ująć nie było można, gdyż owszem pomyłek, niedokładności, braków, jest mnóstwo. Gdy się jednak zważy, że tylko nieliczne miejscowości polskie doczekały się wyczerpujących i fachowych monografji, a cała reszta, czyli po prostu wszystko z małymi wyjątkami, pozostała do zrobienia, to doprawdy zadziwić musi ogrom pracy, pomysłu i wykonania. Wystarczy powiedzieć, że przy każdej miejscowości „Słownika geogr.“ podane są wszystkie prawie znane szczegóły historyczne, a zarazem prawie że wyczerpująca bibljografja, czyli, że wystarczy tylko zaglądnąć do środka, a znajdzie się tu, co potrzebne do codziennego użytku i podstawa do dalszych badań.

PISMA. *Wiadomości fotograficznych* zeszyt ostatni zawiera kilka udatnych reprodukcji fotograficznych amatorskich, z których odznacza się pięknością krajobrazu i samem wykonaniem zdjęcie p. A. Feldmana ze Lwowa. — Artykuł p. Świtkowskiego „Cel i znaczenie wystaw“ omawia potrzebę wystaw fotograficznych.

W kwietniowym zeszycie *Muzeum* znajdujemy oprócz dalszego ciągu „Wrażeń i wspomnień“ E. Dworskiego, traktujących w tej części o zabytkach sztuki w Lipsku, „Okruchy historyczno-pedagogiczne“ dra Karbowiaka, zajmujące się działalnością Staszica, jako członka dyrekcji edukacji narodowej, oraz ciepło napisany artykuł wstępny o „Domu zdrowia uczącej się młodzieży w Zakopanem. Dział rozbiorów i sprawozdań zapełniony jest mnóstwem ocen prac pedagogicznych polskich, niemieckich i angielskich, przeważnie pióra Z. Charkiewicza i dra Zdziarskiego. Z innych ocen na uwagę zasługuje omówienie pracy prof. Brücknera „Z dziejów języka polskiego“ pióra dr. Krczeka. Całości zeszytu dopełnia bardzo starannie ułożona bibljografja pedagogiczna za II. półrocze 1902, dr. Eugenjusza Barwińskiego i „Kronika szkolna i pedagogiczna“ St. Zdziarskiego, zebrana z pism naszych a nie mniej też czeskich i niemieckich. Każdy nowy zeszyt świadczy o nieustannej trosce redakcji około rozwoju pisma, które może się mierzyć z innemi tego rodzaju pismami zagranicznemi.

NOTATKI. W roku bieżącym przypada czterechsetna rocznica śmierci biskupa Stanisława Hozyusza, sławnego polskiego humanisty z XVI. w. Z pomiędzy projektów, które się w Krakowie wyłoniły dla uczczenia tej rocznicy, wymienić należy projekt wystawienia pomnika Hozyuszowi w katedrze krakowskiej, lub kopji nagrobku jego, który jest w Rzymie.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.